

FREDRIK BACKMAN

MIASTO NIEDŹWIEDZIA

PRZEŁOŻYŁA ANNA KICKA

MARGINESY

Björnstad

COPYRIGHT © 2016 BY Fredrik Backman

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Kicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2025

Dla Sagi Backman, mojej babci, która nauczyła mnie kochać sport. Jakież ciche życie wiódłbym bez niego. Mam nadzieję, że bary w niebie serwują porządne martini dry i że zawsze pokazują rozgrywki Wimbledonu na wielkim ekranie. Brakuje mi Ciebie.

I dla Nedy Shafti-Backman, mojej najzabawniejszej, najmądrzejszej i najbardziej kłótlivej przyjaciółki. Która unosi mnie, gdy tego potrzebuję, i sprowadza na ziemię, gdy na to zasługuję. *Asheghetam*.

Późnym wieczorem pod koniec marca bierze do ręki dubeltówkę, idzie prosto do lasu, przykłada broń do ludzkiej głowy i pociąga za spust.

To historia o tym, jak do tego doszło.

Bang-bang-bang-bang-bang.

Jest początek marca, w Björnstad nic się jeszcze nie wydarzyło. Jest piątek i wszyscy po prostu czekają. Drużyna hokejowa juniorów z Björnstad gra jutro w półfinale pierwszej ligi młodzieżowej kraju. Jakże to może mieć znaczenie? Oczywiście niezbyt wielkie. Gdyby tylko nie działo się to tutaj.

Bang-bang-bang-bang-bang.

Jak każdego dnia miasto budzi się wcześniej, małe miasteczka muszą zapewnić sobie przewagę, jeśli chcą przetrwać w tym świecie. Na parkingu przy fabryce rzędy samochodów już pokrywa śnieg, półprzytomni ludzie z przymkniętymi oczami stoją w milczącej kolejce, żeby elektroniczne karty wstępu potwierdziły ich istnienie w rejestratorze czasu pracy. Patrzą niewidzącym wzrokiem i otrzepują śnieg z butów, czekając, aż ulubiona używka – kofeina, nikotyna czy cukier – da im kopa, dzięki czemu staną się zdolni do funkcjonowania do pierwszej przerwy na kawę.

Dojeżdżający do większych miejscowości poza lasem uderzają rękawiczkami w grzejniki i klną w sposób dopuszczalny jedynie u pijanych, umierających lub siedzących w zbyt zimnym peugeocie zbyt wcześnie rano.

Jeśli będą cicho, usłyszą z oddali: bang-bang-bang. Bang. Bang.

—

Maya budzi się w swoim pokoju, jego ściany ozdobione są na przemian szkicami i zachowanymi biletami z koncertów, na które poszła w miastach daleko stąd; nie było ich tak wiele, jak by sobie życzyła,

ale w zasadzie znacznie więcej, niż pozwolili jej rodzice. Leży jeszcze w łóżku w piżamie i gra na gitarze. Kocha w niej wszystko. Jej ciężar na swoim ciele, to, jak drewno reaguje, gdy uderza w nie palcami, struny wrzynające się mocno w skórę, zanim ta jeszcze zdąży się naprawdę obudzić. Proste dźwięki, miękkie riffy to dla niej niebiańska zabawa. Ma piętnaście lat i zdążyła już kochać wiele razy, ale gitara na zawsze będzie jej pierwszą miłością. To ona pomogła jej wytrzymać w tym mieście, to dzięki niej dała radę być córką dyrektora sportowego klubu hokejowego w lesie.

Sama nienawidzi hokeja, ale rozumie ojcowską miłość do niego, sport to po prostu inny instrument niż jej. Mama szepcze jej czasem do ucha: „Nigdy nie ufaj nikomu, kto nie ma w swoim życiu niczego, co kocha całkowicie niekontrolowanie”. Mama kocha faceta, który kocha miejsce, które kocha sport. To miasto hokeja i choć wiele można o mieszkających tu ludziach powiedzieć, jedno jest pewne – można na nich polegać. Wiadomo, czego można się spodziewać, gdy się tu mieszka. Dzień po dniu, dzień po dniu.

Bang.

Björnstad nie leży w pobliżu niczego i nawet na mapie wygląda nienaturalnie. „Jakby pijany olbrzym, sikając, próbował napisać na śniegu swoje imię” – powiedzieliby jedni. „Tak jakby przyroda i człowiek przeciągali linę, walcząc o przestrzeń do życia” – stwierdziłby pewnie ktoś myślący bardziej racjonalnie. Tak czy inaczej, miasto przegrywa, dawno już niczego nie wygrało. Coraz mniej miejsc pracy, więc każdego roku jest i mniej ludzi, las zjada jeden czy dwa opuszczone domy na sezon. W czasach, gdy było jeszcze czym się chwalić, gmina postawiła przy wjeździe do miasta tablicę z hasłem przypominającym popularne wówczas slogany: „Witamy w Björnstad. Chcemy trochę więcej!”. Wiatr i śnieg potrzebowały kilku lat, aby wywiać słowo „więcej”. Niekiedy całe miasteczko wydaje się filozoficznym eksperymentem. Jeśli całe miasto zniknie w lesie i nikt o tym nie usłyszy, czy będzie to miało jakieś znaczenie?

Żeby móc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba zejść kilkaset metrów w dół w stronę jeziora. Nie ma tu może nie wiadomo czego, ale jest kryte lodowisko. Zbudowane cztery pokolenia temu przez robotników fabrycznych – mężczyzn pracujących sześć dni w tygodniu, którzy chcieli mieć coś, na co czekają siódmego dnia. To dziedziczne – cała miłość, która w tym mieście może odtajać, wydaje się zawarta w grze: lód i banda, czerwone i niebieskie linie, kije i krążek, każda cząstka chęci i siły w młodych ciałach, pędzących w pogoni za nim prosto do narożnika. Trybuny wypełnione po brzegi w każdy weekend, rok w rok, mimo że wyniki klubu pogarszały się proporcjonalnie do spowalniania gospodarki miasta. Może dzieje się tak, bo wszyscy mają nadzieję, że jeśli los klubu odmieni się na lepsze, to reszta potoczy się dobrze siłą rozpędu.

To też powód, dla którego miejsca takie jak to pokładają swoje nadzieje na przyszłość w młodzieży; bo tylko młodzi nie pamiętają, że kiedyś było lepiej. To może być swojego rodzaju błogosławieństwo. Tak więc stworzyli drużynę juniorów, tak jak starsze pokolenia tworzyły swoją społeczność: pracuj ciężko, przyjmuj ciosy, nie marudź, stul pysk i pokaż tym dupkom z wielkich miast, skąd pochodzimy.

W okolicy nie ma zbyt wielu rzeczy godnych uwagi. Ale wszyscy, którzy tu kiedyś byli, wiedzą, że to miasto hokeja.

Bang.

Amat kończy niedługo szesnaście lat. Jego pokój jest tak mały, że byłby ledwie garderobą, gdyby znajdował się w większym mieszkaniu w drogiej części jakiegoś miasta. Plakaty zawodników NHL pokrywają całe ściany, nie licząc dwóch miejsc: jedno to jego własna fotografia, zrobiona, kiedy miał siedem lat, w za dużych rękawicach i kasku zsuniętym na czoło – jest na niej najmniejszym chłopcem na lodzie. Drugie to biała kartka, na której jego mama zapisała fragmenty modlitwy. Gdy Amat się urodził, leżała z nim na piersi w ciasnym łóżku w szpitalu na drugim końcu świata – byli tylko we dwoje – a pielęgniarka szeptała jej do ucha tę modlitwę (podobno Matka Teresa

zapisła ją na ścianie nad swoim łóżkiem), myśląc, że modlitwa da samotnej kobiecie siłę i nadzieję. Prawie szesnaście lat później kartka nadal wisi w pokoju jej syna, słowa są pomieszane, ale spisywała je tak, jak je zapamiętała.

Ten, kto jest szczery, może się zawieść na innych.

Mimo to bądź szczery.

Ten, kto jest życzliwy, może być obmawiany przez innych. Mimo to bądź życzliwy.

Całe dobro, które czynisz dzisiaj, jutro może zostać zapomniane przez innych. Mimo to czyn dobro.

Amat trzyma łyżwy tuż obok łóżka, każdej nocy. „Poród musiał być dla twojej matki cholernie ciężki, gdy się tak rodziłeś z tymi łyżwami na nogach” – naśmiewa się stary dozorca z lodowiska. Zaproponował chłopcu, że przechowa mu je w szafie w klubowym magazynie, ale on woli nosić je ze sobą tam i z powrotem. Chce być blisko nich.

We wszystkich drużynach był zawsze najniższy, nigdy nie miał takich mięśni jak pozostali zawodnicy, nigdy nie strzelał tak samo mocno. Ale nikt w tym mieście nie jest w stanie go dogonić. Nikt, w żadnej drużynie, na którą do tej pory natrafił, nie był taki szybki. Nie umie tego wyjaśnić, ale przypuszcza, że tak samo jest wtedy, gdy jedni, patrząc na skrzypce, widzą tylko kupę deszczulek i pokręta, podczas gdy inni widzą muzykę. Łyżwy nigdy nie były dla niego czymś obcym, przeciwnie, kiedy wkłada zwyczajne buty, czuje się jak marynarz schodzący na ląd.

Ostatnie wersy, które mama zapisała na kartce wiszącej na ścianie, brzmią:

*Wszystko, co budujesz, inni mogą zniszczyć. Mimo to buduj.
Ponieważ ostatecznie liczy się tylko to, co między tobą a Bogiem,
przecież nigdy nie chodziło o ciebie i tych innych.*

Zaraz pod tekstem dziecięca ręka czerwoną kredką napisała:

*MUWIĄ, ŻE JESTEM ZA MAŁY, RZEBY GRAĆ. MIMO TO ZOSTANĘ
WIELKIM ZAWODNIKIEM!*

Bang.

Kiedys Björnstad była drugą najlepszą drużyną krajowej pierwszej ligi. Tak to wyglądało ponad dwadzieścia lat i trzy dywizje temu, ale jutro Björnstad znów zmierzy się z najlepszymi. Jak ważny może być mecz juniorów? Jak bardzo miasto może przejmować się kilkoma nastolatkami w półfinale ligi młodzieżowej? Nie za bardzo. Oczywiście gdyby nie chodziło o tę właśnie plamę na mapie.

Kilkaset metrów na południe od tablic drogowych zaczyna się teren nazywany po prostu Wzgórzem. To małe skupisko ekskluzywnych domów z widokiem na jezioro. Tutejsi mieszkańcy to właściciele sklepów spożywczych, szefowie z fabryki albo ludzie, którzy dojeżdżają codziennie do lepszej pracy w większych miastach, gdzie współpracownicy na imprezach robią wielkie oczy, pytając: „Björnstad? To da się mieszkać tak daleko w lesie?”. Oczywiście w odpowiedzi można rzucić coś o polowaniach, łowieniu ryb i bliskości przyrody, ale w istocie prawie wszyscy się teraz zastanawiają, czy rzeczywiście tak się da. Wciąż tutaj mieszkać. Czy jest tu coś jeszcze, coś więcej niż nieruchomości, których wartość spada wraz z temperaturą.

Po czym budzi ich BANG. I na ich twarzach pojawia się uśmiech.

Przez ponad dziesięć ostatnich lat mieszkańcy willi zdążyli się już przyzwyczaić do odgłosów z ogrodu Erdahlów: bang-bang-bang-bang. Następnie krótka przerwa, podczas której Kevin zbiera krążki. Potem znów bang-bang-bang-bang-bang. Kevin miał dwa i pół roku, gdy po raz pierwszy jeździł na łyżwach, trzy, gdy dostał pierwszy kij, w wieku czterech lat był lepszy od pięciolatek, gdy skończył pięć – od siedmiolatek. Zimą, po siódmych urodzinach, odmroził twarz tak, że nawet teraz z bliska można dostrzec ślady na jego policzkach. Po południu grał swój pierwszy prawdziwy mecz w lidze i w końcowych sekundach chybił, strzelając do pustej bramki. Dzieciaki z Björnstad wygrały wtedy dwanaście do zera. Kevin strzelił wszystkie bramki, ale i tak był niepokieszony. Późnym wieczorem rodzice zauważyli, że nie ma go w łóżku, o północy połowa miasta przeszukiwała las. W Björnstad dzieci nie bawią się w chowanego, nie trzeba pójść daleko, żeby pochłonęły je ciemności, małe ciało szybko zamarza przy minus trzydziestu stopniach. Dopiero przed świtem ktoś z ekipy poszukiwawczej zobaczył, że jest na lodzie na jeziorze. Przywłókł ze sobą bramkę, pięć krążków i wszystkie latarki, jakie udało mu się znaleźć, i całymi godzinami strzelał do bramki pod takim samym kątem, z jakiego oddał niecelny strzał w trakcie meczu. Płakał rozwścieczony, kiedy niesiono go do domu. Białe plamki nie zniknęły już nigdy. Miał siedem lat i już wtedy wszyscy wiedzieli, że ma w sobie niedźwiedzia, którego nie da się zatrzymać.

Jego rodzice zapłacili za budowę małego lodowiska w ogrodzie, Kevin odśnieżał je sam codziennie rano, a każdego lata sąsiedzi wygrzebywali krążki ze swoich rabat. Resztki zwulkanizowanej gumy będzie tam można znaleźć jeszcze przez lata.

Rok za rokiem słyszeli, jak ciało chłopca rośnie – uderzenia robiły się coraz mocniejsze i coraz szybsze. Ma teraz siedemnaście lat, a to miasto nie widziało hokeisty z jego talentem od czasu, gdy miejscowa drużyna grała w najwyższej lidze, jeszcze przed narodzinami Kevina. Ma kondycję, ręce, głowę i serce. Ale przede wszystkim ma wzrok, to, co widzi na lodzie, wydaje się dziać wolniej niż to, co widzą inni. W hokeju można się wiele nauczyć, ale z takim wzrokiem albo się rodzisz, albo nie. „Kevin? To samorodek” – zwykł mówić Peter Andersson, dyrektor sportowy klubu, a on powinien to wiedzieć: ostatnim razem tak dobry jak Kevin był właśnie sam dyrektor, który przebył całą tę drogę do Kanady i NHL i zmierzył się z najlepszymi na świecie.

Kevin wie, czego się od niego oczekuje, wszyscy mu to mówili, odkąd po raz pierwszy stanął na łyżwach. Po prostu wszystkiego. Oczekuje się od niego po prostu wszystkiego. Tak więc każdego dnia skoro świt biega po lesie, podczas gdy jego szkolni koledzy nadal jeszcze śpią głęboko pod kołdrą. A później stoi tutaj i bang-bang-bang-bang-bang. Zbiera krążki. Bang-bang-bang-bang-bang. Zbiera krążki. Trening z drużyną juniorów każdego popołudnia, a z pierwszym zespołem każdego wieczoru, potem siłownia, jeszcze jedna runda po lesie, a na koniec jeszcze godzina tutaj, w blasku reflektorów, zamontowanych specjalnie dla niego na dachu domu.

Bang-bang-bang-bang-bang. To jedyne, czego ten sport od ciebie wymaga. Po prostu wszystkiego, co masz.

Kevin dostawał propozycje przeniesienia się do dużych klubów, chodzenia do hokejowego gimnazjum w większym mieście, ale konsekwentnie odmawiał. Jest chłopakiem z Björnstad, jego tata jest facetem z Björnstad, być może gdzie indziej to nieistotne, ale tutaj to coś znaczy.

No więc jak ważny może być półfinał ligi juniorów? Na tyle ważny, że najlepsza drużyna juniorów w kraju znów może przypomnieć reszcie Szwecji, że to miejsce istnieje. Na tyle ważny, że lokalni po-

litycy może zainwestują pieniądze we własne hokejowe liceum na miejscu, zamiast w Hed, aby największe talenty w tej części kraju chciały przeprowadzić się do Björnstad, a nie do dużych miast. Tak, że pierwsza drużyna, pełna wychowanych u siebie zawodników, znów mogłaby dostać się do pierwszej ligi, przyciągnąć na nowo dużych sponsorów, sprawić, by gmina wybudowała nową halę z lodowiskiem i więcej dróg dojazdowych do niej, a może nawet centrum konferencyjne i centrum handlowe, o którym mówi się od lat, dzięki czemu powstałyby nowe firmy i nowe miejsca pracy, a mieszkańcy zaczęliby myśleć o renowacji swoich domów, a nie o ich sprzedaży. To byłoby zwyczajnie ważne dla gospodarki. Dla dumy. Dla przetrwania.

Wreszcie na tyle ważny, że jeden siedemnastolatek, który w swoim ogrodzie od dziesięciu lat, odkąd przemroził sobie policzki tamtej nocy, wbija do bramki krążek za krążkiem, niesie los całego miasta na swoich barkach.

To znaczy po prostu wszystko.

Niecka leży na drugim końcu Björnstad, na północ od tablic drogowych. Centrum miasta składa się z szeregowych domów i małych willi zanikającej klasy średniej, ale w Niecce znajdują się jedynie czynszowe bloki, zbudowane tak daleko od Wzgórza, jak to tylko możliwe. Początkowo była to po prostu pozbawiona fantazji potoczna nazwa. Niecka jest położona niżej niż pozostała część miasta, znajduje się tam, gdzie teren opada w kierunku starej zwirowni. Wzgórze leży wyżej, powyżej jeziora. I kiedy z czasem mieszkańców zaczął dzielić status materialny, nazwy te utrwaliły się w mowie potocznej, aż w równej mierze co nazwami części miasta stały się wyznacznikami przynależności do klasy społecznej. Nawet w najmniejszych zakątkach na ziemi dzieci wcześniej się uczą, że istnieją oddzielne rzeczywistości społeczne, a tu jest to proste: im dalej od Niecki mieszkasz, tym lepiej dla ciebie.

Fatima mieszka w dwupokojowym mieszkaniu tak bardzo w głębi Niecki, jak to tylko możliwe. Niezbyt gwałtownie wyciąga syna z łóżka, ten zabiera ze sobą łyżwy. W autobusie nie ma nikogo poza nimi, nie rozmawiają o niczym. Amat w pełni opanował już sposób transportu ciała bez budzenia głowy. „Mumia” – nazywa go z miłością Fatima. Na miejscu na lodowisku przebiera się w uniform sprzątaczk, a on idzie szukać dozorczy. Chłopiec najpierw pomaga jej zbierać śmieci na trybunach, dopóki go nie zwymyśla i nie wyrzuci za drzwi. Amat niepokoi się o jej kręgosłup, ona sama zaś o to, że inne dzieci go z nią zobaczą i będą się z niego naśmiewać. Jak daleko Amat sięga pamięcią, na świecie było tylko ich dwoje. Od małego pomagał zbierać na trybunach puste puszki i czasami nadal to robi.

Każdego ranka pomaga dozorczy, otwiera drzwi i sprawdza światłówki, składa krążki, jeździ rolbą, przygotowuje lodowisko na cały dzień. Najpierw pojawiają się łyżwiarze figurowi, którzy przychodzą na te najbardziej niedogodne godziny. Później wszystkie drużyny hokejowe, jedna za drugą, aż do tych najlepszych godzin, zarezerwowanych dla juniorów i pierwszego zespołu. Juniorów, którzy są teraz tak dobrzy, że stoją prawie najwyżej w hierarchii.

Amat jeszcze do nich nie dołączył, ma tylko piętnaście lat, ale może uda się w następnym sezonie. Jeśli zrobi wszystko, co trzeba. Pewnego dnia, jest tego pewien, zabierze stąd mamę, pewnego dnia skończy cały czas dodawać i odejmować w głowie przychody i rachunki. Różnica między dziećmi jest wyraźna, można zauważyć, czy pochodzą z domów, gdzie pieniądze mogą się skończyć, i w jakim wieku się o tym dowiadują.

Amat wie, że ma ograniczone możliwości wyboru, więc jego plan jest prosty: stąd do juniorów, z juniorów do pierwszego zespołu, stamtąd do zawodowców. Gdy tylko pierwsza wypłata pojawi mu się na koncie, ma zamiar zabrać mamie ten wózek do sprzątania i nigdy więcej nie pozwolić jej go oglądać; chce dać odpocząć jej zmęczonym palcom i wyspać się z rana jej słabym plecem. Nie chce rzeczy. Chce tylko móc położyć się któregoś wieczoru i nie musieć liczyć.

Dozorca klepie Amata po ramieniu, gdy ten kończy swoje zajęcia, i podaje mu łyżwy. Amat wiąże je na nogach, bierze kij do ręki i wyjeżdża na pusty lód. Taki mają układ: Amat pomaga dozorczy w podnoszeniu ciężkich rzeczy i ze sprawiającymi problemy drzwiami w bandzie, z powodu których zaczyna odzywać się jego reumatyzm, i jeśli tylko Amat sam wygładzi później lód, ma lodowisko dla siebie na godzinę, zanim łyżwiarze figurowi zaczną trening. To najlepsze sześćdziesiąt minut jego dnia, każdego dnia.

Wciska słuchawki w uszy, głośność na cały regulator, a później cała naprzód! Przez lód, mocno w bandę po drugiej stronie lodowiska, tak żeby kask uderzył w ochronną płytę z pleksi. I na maksa z powrotem! I znów. I znów. I znów.

Fatima spogląda przez chwilę znad wózka do sprzątania, pozwala sobie przez kilka sekund pooglądać syna tam na dole. Dozorca widzi jej wzrok i usta układające się w cichym podziękowaniu. Kiwa głową, kryjąc uśmiech. Fatima pamięta to dziwne uczucie, gdy trenerzy w klubie po raz pierwszy powiedzieli jej, że Amat ma wyjątkowy talent. Wtedy nie rozumiała zbyt wiele po szwedzku, a to, że Amat umiał jeździć na łyżwach, zanim jeszcze dobrze nauczył się chodzić, było dla niej cudem boskim. Minęło tyle lat, a ona nadal nie przyzwyczaiła się do zimna w Björnstad, ale nauczyła się kochać to miasto za to, czym jest. I nic nigdy w życiu nie będzie dla niej dziwniejsze niż to, że chłopiec, który przyszedł na świat w miejscu, gdzie nigdy nie widziano śniegu, urodził się, by uprawiać sport na lodzie.

W jednym z tych mniejszych domków willowych w centrum miasta Peter Andersson, dyrektor sportowy Björnstad Hockey, wychodzi spod prysznica zdyszany i z zaczerwienionymi oczami. Prawie nie spał, a wodzie nie udało się zmyć zdenerwowania. Wymiotował dwa razy. Słyszy Mirę krzątającą się w przedpokoju, po drugiej stronie drzwi do łazienki, która idzie obudzić dzieci, i wie dokładnie, co

zaraz powie: „Boże, Peter, masz ponad czterdzieści lat. Jeśli dyrektor sportowy klubu jest bardziej niespokojny przed meczem juniorów niż sami juniorzy, to może już najwyższy czas łyknąć sobril, napić się drinka i trochę wyluzować?”. Anderssonowie mieszkają tu od ponad dziesięciu lat, odkąd wrócili z Kanady, ale jemu nadal nie do końca udało się wytłumaczyć żonie, co znaczy hokej w Björnstad. „Serio? Nie wydaje ci się, że wy, dorośli faceci, trochę przesadzacie?” – pytała przez cały sezon. „Juniorzy mają po siedemnaście lat! To jeszcze prawie dzieci!”

Pierwszych kilka razy siedział cicho. Ale któregoś późnego wieczoru powiedział prawdę: „Wiem, że to tylko gra, Miro. Wiem to. Ale jesteśmy miastem w środku lasu. Nie mamy turystyki, kopalni, przemysłu high-tech. Mamy ciemność, zimno i bezrobocie. Jeśli jest coś, czym to miasto może się jeszcze ekscytować, cokolwiek, to powinniśmy się cieszyć. Wiem, kochanie, że nie jesteś stąd, to nie twoje miasto, ale rozejrzyj się dokoła. Zamykają miejsca pracy. Gmina zaciska pasa. Mieszkają tu twardzi ludzie, mamy w sobie niedźwiedzia, ale też nieźle nas obito. To miasto musi coś wygrać. Poczuć chociaż jeden raz, że jesteśmy najlepsi. Wiem, że to tylko gra. Ale to nie tylko... tylko to. Nie zawsze”.

Mira pocałowała go wtedy mocno w czoło, objęła, uśmiechnęła się i szepnęła mu czule do ucha: „Jesteś idiotą”. Oczywiście, że jest, wie to.

Wychodzi z łazienki, puka do drzwi swojej piętnastoletniej córki, ale odpowiada mu tylko gitara. Córka kocha muzykę, nie sport. Są dni, kiedy nad tym ubolewa, ale też wiele innych, kiedy cieszy się jej szczęściem.

Maya nadal leży w łóżku, gra głośniej, gdy słyszy pukanie i rodziców. Mamę, która ma podwójny dyplom uniwersytecki i potrafi cytować cały kodeks, ale nie potrafi się nauczyć, co to uwolnienie i spalony, nawet jeśli ją postawić przed sądem. Tatę, który potrafi za to szczegółowo wytłumaczyć każdą taktykę hokejową, ale nie potrafi oglądać

serialu z więcej niż trzema bohaterami, żeby co pięć minut nie krzy-
czeć: „Co się dzieje? Kto to jest? Co «cicho»? Czemu mam być cicho?
No i nie wiem, co powiedzieli... Możemy przewinąć z powrotem?”.

Maya śmieje się i wzdycha. Nigdy nie tęskni się za wyprowadzką
z domu bardziej, niż gdy ma się piętnaście lat. Jej mama, po trzech,
czterech kieliszkach wina, gdy zimno i ciemność dają jej się najbar-
dziej we znaki, zwykła mówić: „Nie da się żyć w tym mieście. Mayu,
można w nim tylko przeżyć”.

Nikt z nich nie domyśla się jeszcze, ile w tym prawdy.